

Apostolskie niedbanie o dzień jutrzejszy [FELIETON]

Poza Powstaniem Warszawskim nie ma w polskich nowożytnych dziejach innego faktu, który w równie dramatyczny i widowiskowy sposób potwierdzałby tezę o bohaterstwie, męczeństwie i bezgranicznym poświęceniu dla wolności, jako esencji tego, co polskość wyróżnia spośród innych narodowości europejskich. Ale też nie ma innego faktu, który by równie spektakularnie unaoczniał „lekkomyślność”, „niedbanie o dzień jutrzejszy” – pisze Jan Rokita w nowym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Od przeszło dekady sierpień jest w Polsce czasem rytualnej wymiany ciosów w kwestii historii. Pretekstem są oczywiście co sierpniowe celebracje kolejnej rocznicy Powstania Warszawskiego, które w polskiej zbiorowej świadomości XXI wieku stało się niemal esencją i punktem krytycznym ojczystych dziejów. Wizje owych punktów krytycznych narodowej historii są oczywiście zmienne i mocno zależą od aktualnych dziejowych koniunktur. Dla mojego (czyli bardzo starego) pokolenia takim punktem nie był wcale rok 1944, ale raczej 1918. To listopad, a nie sierpień owiany był atmosferą patriotycznej legendy, co pewnie było szczególnie mocno odczuwalne w moim rodzinnym Krakowie, gdzie historia odrodzenia się państwa w roku 1918 stała się w tamtym czasie inspiracją dla wybitnej sztuki. By przypomnieć tylko wielki okres Teatru Starego, w którym Jerzy Jarocki wystawiał „Sen o Bezgrzesznej”, zaś Andrzej Wajda „Z biegiem lat, z biegiem dni”. Zapewne symbolika listopada lepiej wpisywała się w klimat duchowy

lat 70. i 80. ubiegłego wieku, naznaczony marzeniem o niepodległości i nadzieją na jej odzyskanie. A także tajemnym przeczuciem możliwości ziszczenia się owej nadziei. Współczesny czas historyczny jest kompletnie odmienny – rozgorzał przecież wielki spór o to, czym w istocie jest polskość. Spór który w tamtych latach musiałby się wydać jakąś deklamatorską fikcją, bo ponad wszelkie dyskusje nie tylko intuicyjnie wiedzieliśmy czym ona jest, ale nadto jeszcze przeżywaliśmy ją, jako coś bardzo osobistego i uwewnętrznionego. Tak jak śpiewał w 1988 roku Obywatel G.C.: „Nie pytaj mnie dlaczego jestem z nią”.

Powstanie Warszawskie nadaje się znakomicie do wyrazistego definiowania pozycji w sporze o sens polskości. I zapewne z tego właśnie powodu awansowało współcześnie do roli sedna narodowej historii

Powstanie Warszawskie nadaje się zaś znakomicie do wyrazistego definiowania pozycji w sporze o sens polskości. I zapewne z tego właśnie powodu awansowało współcześnie do roli sedna narodowej historii. W gruncie

rzeczy bowiem nie ma w polskich nowożytnych dziejach innego faktu, który w równie dramatyczny i widowiskowy sposób potwierdzałby tezę o bohaterstwie, męczeństwie i bezgranicznym poświęceniu dla wolności, jako esencji tego, co polskość wyróżnia spośród innych narodowości europejskich. Ale też nie ma innego faktu, który by równie spektakularnie unaoczniał „lekkomyślność”, „niedbanie o dzień jutrzejszy” oraz „brak wyrachowania wypadków” ówczesnego narodowego przywództwa, wystawiającego miasto i młodą elitę kraju

na zagładę dla jakiejś kompletnie wymyślonej racji politycznej. Te dobrze znane, negatywne cechy polskości nie przypadkiem umieszczam tu w cudzysłowach, bo ich określenia pochodzą od „trzeciego wieszca” Zygmunta Krasińskiego, który pisał o nich jeszcze grubo przed dwiema polskimi powstańczymi hekatombami: tej z 1863 i z 1944 roku. Ilekroć bowiem w okolicach dnia 1 sierpnia powraca rytualny, lecz zawsze tak samo namiętny spór o polskość, mnie przypomina się na nowo jeden z najbardziej niezwykłych tekstów o Polsce: teologiczno-polityczny „Traktat o Trójcy”, opatrzony także drugim tytułem: „O stanowisku Polski z Bożych i ludzkich względów”. Traktat, który w całym naszym piśmiennictwie jest bodaj najbardziej logiczną i spójną wersją polskiego mesjanizmu. A także intelektualnym „wsadem” do słynnego „Przedświtu”, gdzie rozeznanie sensu polskości nagle olśniewa Krasińskiego, kiedy u kresu nocy płynie po włoskim jeziorze wraz ze swą ukochaną Delfiną, grającą tu rolę Beatrycze.

Polityczna teologia Krasińskiego wiedzie do tezy, iż zbawienie narodów, które muszą zaznać ostatecznego wzajemnego pojednania, będzie pierwszym aktem apokalipsy. Czymś na kształt prologu do ostatecznego zbawienia człowieka. „Duchy zbiorowe, narody i ludzkość niczem innym, jedno szkołą wychowawczą pojedynczych duchów, z której przejść one mają do życia wiecznego” – pisze. Na tej drodze (i tu jest sedno romantycznego mesjanizmu) przewodzić będzie naród polski, gdyż tak jak żaden inny dał on swoją historią świadectwo niewinności, wierności Kościołowi Rzymskiemu i bohaterstwa w służbie uniwersalnym ideałom. Dlatego musiał umrzeć jako państwo i czeka teraz (połowa XIX wieku) na zmartwychwstanie. Jego największe wady są niczym innym, jak koniecznościami wynikającymi właśnie z jego cnót. Niewinność, wierność i idealizm to bowiem to samo co lekkomyślność co do własnego losu, niedbanie o dzień jutrzejszy i brak wyrachowania. Nie mamy tu raczej wątpliwości, kiedy

charakteryzujemy dobrych ludzi, ale Krasiński przenosi tę logikę także na charakterystykę narodów. Dlatego polska lekkomyślność jest u niego „pozorna”, a niedbanie o dzień jutrzejszy „apostolskie”. Zaś „brak wyrachowania wypadków” Polska okazuje „szczególnie tam, gdzie podstęp i chytryść składają rachunku część najprzedniejszą”. Krasiński przyznaje, iż owe „wady i usterki” (jak je nazywa) spowodowały katastrofę państwa, co w kategoriach teologii politycznej znaczy, iż „zgon na jego ciało spuściły”. Ale bez nich polskość utraciłaby swoją esencję, która daje jej apokaliptyczne przeznaczenie.

Z perspektywy gwałtownego współczesnego sporu o polskość, sporu który w gruncie rzeczy napędza dziś najmroczniejsze instynkty konfrontacji politycznej, logika teologii politycznej „trzeciego wieszca” przynosi swoiste ukojenie

Odrębną rzeczą jest katolicka ortodoksja teologii Krasińskiego, choć jak twierdził swego czasu prefekt Kongregacji Doktryny Wiary Joseph Ratzinger, ten rodzaj myślenia millenarystycznego pozostaje dla „urzędowej” teologii

Kościół nadal kwestią otwartą. Gdy jednak idzie o stronę polityczną, to dla kogoś takiego jak ja, kształconego na krytycznej tradycji krakowskich Stańczyków czy antykomunisty Józefa Mackiewicza, taki punkt widzenia jest trudny, ba... niemal niemożliwy do akceptacji bez zastrzeżeń. Nie da się jednak nie przyznać, że z perspektywy tak gwałtownego współczesnego sporu o polskość, sporu który w gruncie rzeczy napędza dziś najmroczniejsze instynkty konfrontacji politycznej, logika teologii politycznej „trzeciego wieszca” przynosi

swoiste ukojenie. Nie kwestionuje bowiem zgubnych narodowych win i wad, tak jak chcieli tego zawsze narodowi hurra-optimiści, zarówno ci dawni spod sarmackich znaków księcia „Panie Kochanku”, jak i ci współcześni, pragnący swoistym moralnym szantażem zakazać rozprawiania o strasznej winie przywódców Polski Podziemnej. Ale próbuje tym wszystkim winom, wadom i „usterkom” nadać inny sens. Sens sięgający przyszłego końca historii i mający ambicję zaglądnąć poza zasłonę apokalipsy.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”